

Autor bestsellerowej „Katedry w Barcelonie”

ILDEFONSO
FALCÓNES

NIEWOLNICA
WOLNOŚCI



ALBATROS

Tytuł oryginału:
ESCLAVA DE LA LIBERTAD

Copyright © Ildefonso Falcones de Sierra 2022
All rights reserved

Translated from the original edition of Penguin Random House Grupo
Editorial S.A.U., Barcelona, 2022

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Joanna Ostrowska 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8361-752-7

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



1

Kuba, plaża Jibacoa 1856

NA PIASKU TŁOCZYŁY SIĘ SETKI nędzników. Szloch, zawodzenia i skargi zderzały się ze świstem batów i rozkazami wydawanymi przez nadzorców. Siedemset nastolatek i dziewczynek o czarnej lub czekoladowej skórze. Większość naga, reszta w lachmanach, wszystkie niedożywione, słabe, niektóre chore. Płakały, odkąd zaczęła się ich gehenna, jeszcze w Afryce, kiedy dostały się do niewoli w wyniku jednej z licznych wojen plemiennych. Płakały podczas długiego marszu do wybrzeży Beninu, połączone łańcuchami skuwającymi ich szyje i dłonie. Potem, niepewne swojego losu, czekały zamknięte w nadmorskich faktoriach. Wreszcie wepchnięto je do ładowni klipera, statku, który w niespełna trzy miesiące dostarczył je na karaibską wyspę.

Podczas podróży ponad sto zmarło. Pozostałe musiały patrzeć na ich agonię; leżały we własnych odchodach, nie mogąc pomóc towarzyszkom niedoli ani tchnąć w nie nadziei. Wydawało im się, że wylały już wszystkie łzy, gdy leżały obok zimnych ciał, dopóki lekarz albo jakiś marynarz nie zabrał zwłok i nie wyrzucił ich do morza na pożarcie rekinom.

Ilekcroć któryś z członków załogi otwierał właz, wpuszczając snop światła do zatęchłej ładowni, i schodził na dół, jedenastoletnia

Kaweka próbowała zasłonić ciało młodszej siostry Daye. Obiecała, że się nią zaopiekuje. Przysięgła jej to, kiedy trafiły do niewoli, a potem codziennie ją pocieszała, powstrzymując łzy żalu, który ścisnął jej serce, gdy zrozpaczona Daye wzywała matkę. Odkąd wsiadły na statek, dziewczynka nikła w oczach. Kaweka mówiła do niej, kołysała ją w ramionach, śpiewała jej czule do ucha i obiecywała nieosiągalny raj, jakby nie skuwały ich łańcuchy. Lecz po kilku dniach Daye zgasała: przestała odpowiadać, szlochać i oddychać... A może nie? Może wcale nie umarła, tylko po prostu leży nieruchomo, cichutko oddychając? Kaweka nie była pewna. A jeżeli śpi? Matka i dziadek często powtarzali, że bóstwa są kapryśne. Daye mogła się w każdej chwili obudzić. Niekiedy tak się zdarzało – o tym też opowiadali jej matka i dziadek. Ale teraz nie było z nimi żadnego z nich, żeby uleczyć Daye, jak leczyli inne dzieci z wioski. Kaweka przykryła więc siostrę własnym ciałem i przez dwa dni czekała na cud, aż w końcu wydały ją leżące obok nich starsze dziewczyny.

– Jest martwa! – krzyczeli marynarze, próbując wyrwać jej zwłoki.

Wiedziała, co mówią, chociaż nie rozumiała ich języka. Mimo osłabienia szarpała się z nimi, żeby przeszkodzić im w zabraniu ciała. Co stanie się z duchem jej siostry, jeżeli pożre ją jeden z tych morskich potworów, o których opowiadały inne dziewczynki?

Statek zaciekle pruł fale, bezlitosny, porywczy, jakby obwieszczał okrutny los zgotowany kilkuset dziewczętom. Kiedy marynarze zabrali Daye, żeby sprofanować jej ciało, Kaweka nie musiała już dłużej udawać, że jest dzielna i pełna nadziei. Zniosła się rozpaczliwym szlochem i nie przestała płakać do końca podróży.

– Stójcie spokojnie i bądźcie cicho! Cisza!

Nowo przybyłe z Afryki niewolnice – zwane przez białych *bozales* – nie rozumiały rozkazów, które zaczęły wykrzykiwać nadzorcy, kiedy tylko przetransportowali je na plażę barkasami. Ale tak jak

Kaweka wiedziała, co mówią marynarze, którzy przyszedli po zwłoki jej siostry, tak i dziewczęta stłoczone na piasku domyślały się, o co chodzi dwudziestu spoconym, brodatym prostakom uzbrojonym w maczety i pistolety. Zbierały się w kręgu wyznaczonym smagnięciami batów, szczute psami z trudem przytrzymywanymi przez nadzorców. Uwolniwszy się od smrodu i trujących wyziewów ładowni klipera, oddychały świeżym, rześkim powietrzem zimowej nocy. Szukały pocieszenia w rozgwieżdżonym niebie, na którym błyszczał księżyc, bezlitośnie odsłaniając ich hańbę; nowe łańcuchy, którymi skuto ich szyje, nie pozwoliły im jednak długo cieszyć się tą chwilą wytchnienia.

– Wstawaj! – nakazał jeden z nadzorców wychudzonej dziewczynce w wieku Daye, która upadła na piasek, zanim znowu ją skuli.

Mała nie wypełniła polecenia, więc mężczyzna wbił w nią czubek wysokiego buta. Lecz ona wciąż leżała na ziemi, spoglądając błagalnie jednym okiem, które wydawało się olbrzymie na tle wymizierowanej twarzy. Strażnik złapał ją za włosy, jakby była szmacianą lalką, podniósł i skuli łańcuchem. Kaweka podtrzymała dziewczynkę, zanim ta ponownie upadła na piasek.

To nie była jej siostra.

– Cisza! – nakazywali mężczyźni w odpowiedzi na płacz, skargi i niekontrolowane napady kaszlu.

Psy, które znały swoją powinność, warczały, ale nie szczekały. W mroku rozjaśnionym przez księżyc widać było tylko cienie. Nadzorczy starali się pracować po cichu, ponieważ angielska flota pilnująca mórz i wybrzeży wyłapywała tych, którzy handlowali ludzkim życiem, co zostało zakazane prawie czterdzieści lat wcześniej, na mocy traktatu między Hiszpanią a Wielką Brytanią. O ile jednak Wielka Brytania zniosła także niewolnictwo, o tyle Hiszpania nadal zezwalała na nie w swoich zamorskich koloniach. Zakazano handlu ludźmi, ale nie ich posiadania. Niewolnicy byli więc nielegalnie

sprawdzeni na Kubę – jedną z ostatnich posiadłości hiszpańskiego imperium – za przyzwoleniem skorumpowanych władz i żądnych zysku producentów cukru.

Mimo że należące do ludu Joruba dziewczęta nie rozumiały języka tych, którzy ponownie skuwali je łańcuchami, wiedziały, co je czeka. Pochodziły z Afryki, gdzie niewolnictwo było na porządku dziennym. Większość populacji afrykańskich królestw żyła zniewolona. Niewolnicy stanowili główne źródło bogactwa uprzywilejowanych kast. Przywódcy plemienni mieli ich tysiące i chociaż po podpisaniu traktatu przez Wielką Brytanię i Hiszpanię nie sprzedawali ich już masowo do Europy, to interesy na Bliskim Wschodzie – z Egiptem i innymi państwami arabskimi – kwitły tak jak wcześniej handel transatlantycki.

Wszystkie wiedziały, czym jest wyzysk, i rozumiały, co oznacza obręcz na szyi.

Rozległo się świśnięcie bata.

Pierwszy szereg skutych łańcuchami dziewcząt ruszył w drogę.

– Dalej, czarnuchy! – odważył się krzyknąć jeden z nadzorców.

Wokół panowała cisza, nie było śladu po Brytyjczykach; kolumna oddalała się od brzegu i zapuszczała w głąb lądu. Młode niewolnice wlekły się ze spuszczonej głowami. Kaweka szła za tamtą dziewczynką, która nie była jej siostrą. Zastanawiała się, czy Daye też by upadła. Zapamiętała ją jako równie słabą: smutne, chore dziecko. Jakby łańcuchy skuły także jej pamięć, zapomniała, co to radość, śmiech, harce, zabawy i wspólna praca w polu. Kaweka też odsunęła od siebie te wspomnienia, bo ich przywoływanie za bardzo bolało. Żadna z nich nie wiedziała, dokąd je prowadzą, ale wiele zadręczało się przerażającymi domysłami. Starcy z wiosek opowiadali, że pojmani jeńcy są zabierani za morze, którego większość z nich nigdy nie widziała, dopóki nie zaprowadzono ich do faktorii na wybrzeżu. Najpierw była podróż statkiem – zatłoczona ładownia, smród, śmierć – a teraz baty, psy, obręcze na szyjach i

odrażający mężczyźni. To skutecznie zgasiło uśmiechy Kaweki i jej towarzyszek.

Zostały za sobą plażę i zakotwiczony kliper – rodzaj żaglowca, który sprawdził się w handlu chińskimi kulisami, a teraz był wykorzystywany do przemykania siły roboczej z Afryki. Ten, który pozbył się ładunku na plaży Jibacoa, pływał pod amerykańską banderą, tak jak ponad dziewięćdziesiąt procent jednostek rozwijających po świecie niewolników. Amerykanie nie podpisali z Brytyjczykami umowy, dlatego ich statki nie mogły być przez nich zatrzymywane. Zmonopolizowali więc transatlantycki przemysł siły roboczej trafiającej głównie na Kubę i do Stanów Zjednoczonych, ale także do krajów takich jak Brazylia i Portoryko, które co prawda zakazały handlu niewolnikami, ale nie zniosły niewolnictwa. Amerykanie korzystali z osiagających rekordowe prędkości, zwinnych i łatwych do sterowania kliperów, które były w stanie uciec każdemu okrętowi. Długie, wąskie żaglowce o smukłym dziobie mogły mieć nawet siedemdziesiąt żagli. Zawrotna szybkość miała jednak swoją cenę: ładownie kliperów były mniejsze niż w tradycyjnych statkach niewolniczych. Niektórzy handlarze rozwiązywali ten problem, upychając w nich dzieci.

Kiedy mężczyźni prowadzący nagie, bose niewolnice zapuścili się w głąb prowincji Matanzas i stracili z oczu plażę, opadło z nich napięcie. Nawet psy zaczęły szczekać. Nadzorcy pokrzykiwali, rozprawiając głośno o kobietach, hazardzie, alkoholu... Śmiali się, obrzucali wyzwiskami, prowokowali się nawzajem i robili zakłady, jakby idące z nimi dziewczęta w ogóle nie istniały. Nie zwracali na nie uwagi, chyba że któraś upadła albo została w tyle.

Tamta dziewczynka nawet się nie potknęła: po prostu ugięła się pod nią kolana i padła na ziemię u stóp Kaweki, tak jak zrobiłaby to jej siostra, gdyby nie umarła na morzu. Łańcuch niewolnic stanął. Jeden ze strażników ruszył w ich stronę z maczetą w dłoni, złorzeczając pod nosem. Kaweka krzyknęła, po czym stanęła między

mężczyzną a małą.

Zaskoczony strażnik prychnął, jakby jego cierpliwość się wyczerpała. Machnął maczetą przed nosem Kaweki, żeby się odsunęła. Ale go nie posłuchała. Ta bezbronna dziewczynka łapiąca haustami powietrze była wcieleniem jej siostry. One także zaczęły tak łąpczywie oddychać, kiedy podczas marszu w stronę benińskiego wybrzeża jeden z nadzorców odciął maczetą głowę idącemu przed nimi jeńcowi. Teraz Kaweka kucnęła, zasłaniając dziewczynkę, bo bała się, że ten mężczyzna zrobi to samo. W Afryce nieraz była świadkiem podobnych scen. W ten sposób handlarze niewolnikami odłączali od makabrycznego łańcucha tych, którzy konali albo przestali reagować na kary – nawet nie zadawali sobie trudu, żeby zdjąć im z szyi obręcze.

– Wstawaj, wstawaj – szepnęła do ucha dziewczynce, delikatnie nią potrząsając.

To samo powiedziała siostrze, kiedy zorientowała się, że drżą jej nogi i zaraz się zatrzyma. „Nie patrz na niego”, przykazała Daye, która wpatrywała się jak zahipnotyzowana w odciętą głowę wymijaną przez resztę jeńców.

Strażnik spróbował odsunąć ją ostrzem maczety.

– Z drogi! – rzucił.

Kaweka nie ruszyła się z miejsca. Mężczyzna pochylił się i wolną dłonią wymierzył jej mocny policzek. Poleciała do tyłu, ale dzięki łańcuchowi nie potoczyła się daleko.

– Pierdolona czarnucha!

Strażnik szykował się, żeby ją kopnąć, powstrzymał go jednak czyjś krzyk:

– Ani się waż! – W jego stronę zmierzał zamaszystym krokiem inny mężczyzna. – Chcesz ją uszkodzić? Jesteś gotów za nią zapłacić?

Ten z maczetą mruknął coś pod nosem i splunął na Kawekę.

– Wstawaj – ponaglił ją drugi nadzorca, objaśniając swój rozkaz

ruchem ręki.

Kiedy Kaweka podniosła się z ziemi, wskazał jej na migi, żeby razem z idącą przed nią dziewczynką wzięły małą na ręce.

Nie odcięli jej głowy. Nie wychłostali jej, żeby szła dalej. Młode dziewczyny były sporo warte – może nie aż tyle co zdrowy, silny niewolnik, ale wystarczająco dużo, żeby nie opłacało się uszkodzić towaru, coraz bardziej pożądanego przez cukrokratów* i bogatych właścicieli ziemskich. Ci, którzy zbijali majątki na niehumanitarnym wyzysku niewolników, zmienili podejście. Jeszcze do niedawna cukrownie napędzała siła robocza złożona niemal wyłącznie z mężczyzn żyjących w więziennych warunkach i zmuszanych do potwornej harówki. Nikt nie był zainteresowany kobietami ani dziećmi, które mogły urodzić, a tym bardziej konfliktami, do jakich dochodziłoby wśród powodowanych pożądaniem i lubieżnością mężczyzn. Dopóki zakaz handlu niewolnikami, zniesienie niewolnictwa w większości państw europejskich i brytyjskie patrole nie podniosły znacznie cen *bozales* kradzionych w Afryce, wyprodukowanie małego niewolnika było znacznie mniej opłacalne niż zakup zdolnego do pracy mężczyzny. Dlatego właściciele ponad tysiąca cukrowni i kilkuset plantacji kawy znajdujących się na wyspie zaczęli kupować kobiety; kierowali je do tej samej ciężkiej pracy, którą wcześniej wykonywali mężczyźni, a do tego wymagali od nich, żeby rodziły nowych niewolników, jakby były bydłem.

Za dziewczynki w wieku Kaweki – a nawet młodsze i słabsze, jak ta, która nie była jej siostrą – dawano dużo pieniędzy.

ŚWIT ZASTAŁ JE NA DZIEDZIŃCU z ubitej ziemi, otoczonym drewnianymi barakami. Handlarze ukryli je w głębi prowincji Matanzas,

*Termin „cukrokrata” był powszechnie używany w odniesieniu do bogatych właścicieli cukrowni (przypis autora).

na terenie leżącej pośród pól cukrowni. Zajmowała nieproporcjonalnie duży obszar, zważywszy na jej skąpe, mocno przestarzałe wyposażenie. Niewolnice stłoczyły się w rogu dziedzińca. Jedne siedziały na ziemi, inne leżały, zaledwie kilka trzymało się na nogach, ale wszystkie szukały kojącej bliskości towarzyszek.

Cukrownia z młynem wykorzystującym siłę zwierząt była przykrywką dla handlu niewolnikami. Na drewnianym łuku nad wejściem do tego więzienia widniał napis: *San Nicolás*.

– Dajcie im wody! – Rozkaz padł z ust mężczyzny, który w nocy ocalił Kawekę przed kopniakiem. Z wiszącym przy pasie zwinętym batem, opierał się nonszalancko o ścianę jednego z budynków.

Do stłoczonych dziewcząt podbiegło natychmiast kilku czarnoskórych chłopców w wieku siedmiu, ośmiu lat. Oni też byli niewolnikami.

– Chodźcie – zachęcali, ciągnąc je za ręce.

Gdy te z pierwszych rzędów, wystraszone, stawiały opór, jeden z malców wskazał kolegę stojącego przy cembrowinie. Chłopiec przywołał je, z uśmiechem wylewając na ziemię zawartość kubła, który przed chwilą wciągnął ze studni. Chłupot wystarczył, żeby rozbudzić pragnienie, którego nie zaspokajały od czasu ostatniej racji wody wydanej im w ładowni klipera.

– Gęsiego! – krzyknął nadzorca, kiedy zobaczył, że dziewczęta ruszają się z miejsca. – Zachować porządek!

– Gęsiego – powtarzali chłopcy, popychając je jedna za drugą.

Zrozumiały. I posłuchały. Tak jak później, kiedy już napiły się wody z chochli i kazano im ustawić się na dziedzińcu, po pięćdziesiąt w jednym szeregu. Wychudzone, brudne, obdarte albo całkiem nagie istoty utworzyły czternaście rzędów.

Kaweka zmusiła młodszą dziewczynkę do picia. Nie знаła jej imienia, bo nie udało jej się wydusić z niej choćby jednego słowa. Mała pozwalała ciągać się z miejsca na miejsce. Nie odzywała się,

nie płakała ani nie narzekała, jakby straciła kontakt z rzeczywistością.

– Co o nich myślisz, Florencio? – zapytał jeden z nadzorców, podchodząc do opierającego się o ścianę mężczyzny.

– Nie jest źle – odpowiedział ten, cmoknąwszy. – Widywałem *bozales* w gorszym stanie i dawały radę. Dokarmi się je, podleczy i za jakieś dwa, góra trzy tygodnie będziemy mieli towar pierwszej jakości. W tym wieku organizm szybko się regeneruje. Niech im dadzą ubrania i zaprowadzą je nad strumień, żeby się umyły, szereg za szeregiem. Wolę nie myśleć, ile mają na sobie gówna i robactwa.

– W co je ubrać, szefie? – zapytał inny mężczyzna.

– Przy tej pogodzie wystarczy dać im po sukience – odparł Florencio. – I może niech każda dostanie koc – dodał po chwili namysłu. – Noce są chłodne, jeszcze nam się przeziębą i zaniemogą. Wicie przecież, że czarnuchy chorują od zimna i wilgoci. Resztę ubrań dadzą im nowi właściciele. Do roboty!

Mężczyźni odwrócili się, żeby udać się na dziedziniec, gdzie stały nieruchome rzędy niewolnic. Nie zrobili nawet dwóch kroków, kiedy ponownie rozległ się głos ich szefa:

– Jeżeli ktoś tknie którąś z nich, osobiście go wykastruję!

Czarni chłopcy i kilku nadzorców poprowadzili pierwsze dziewczynki nad płynący nieopodal strumień. Kiedy przyszła kolej na ich szereg, Kaweka pchnęła do przodu swoją małą towarzyszkę. Po drodze minęły dziewczęta wracające znad wody – nagie i mokre. Tym, które jeszcze miały na sobie jakieś szmaty, zabierano je na brzegu. W oczach pilnujących je nadzorców Kaweka dostrzegła lubieżność, a chłopcy głupio chichotali. Poszła w ślady reszty i natarła się piaskiem, żeby zedrzeć z siebie skorupę brudu. Potem wyszorowała małą i razem weszły do strumienia. Zamknęła oczy. Świeżość chłodnej wody na moment przeniosła ją do rodzinnej wioski.

Wychudzone ciemne ciała pięćdziesięciu niewolnic błyszcząły

w karaibskim słońcu, ich skóra skrzyła się od kropli wody. Wiele spośród tych dziewcząt zaczęło już dojrzawać: niektórym pęczkowały piersi, inne miały je w pełni ukształtowane. Mężczyźni bezustannie przeskakiwali po nich wzrokiem. Pokazywali je sobie palcami, jakby rozdzielali je między siebie. Nie dotknęli żadnej z nich, ale jeden spuścił spodnie i zaczął się masturbować, dopingowany przez towarzyszy. Znały męską naturę, nie gorszyło ich obcowanie płciowe, czy to ludzi, czy zwierząt. Jedyną rzeczą, która je zdziwiła, była biel ciała nadzorczy.

Rozkazy handlarzy sprowadziły je na ziemię. Kiedy wróciły z kąpeli, rozdano im proste, szorstkie tuniki z grubego płótna i zaprowadzono je w róg dziedzińca, pod barak, w którym mieściła się kuchnia. Kilku mężczyzn wyniosło ze środka wielki gar kaszy kukurydzianej z bananami i tace z solonym dorszem. Z hukiem postawili je na stole przed barakiem.

Chłopcy rozdali niewolnicom powgniatane blaszane miski i pokazali, żeby podchodziły do stołu. Kiedy z pełnymi naczyniami szły gęsiego na środek placu, herszt handlarzy, Florencio Ribas, zatrzymywał je po kolei i pokazywał ubranemu na biało starcowi w poplamionej koszuli i kapeluszu, o rzadkiej brodzie i niechlujnym wyglądzie.

„Ta tak”, „Ta jest zdrowa”, „Ta też”, wyrokował lekarz, zagłuszany przez chłopców pilnujących porządku i nadzorców wydających jedzenie. „Ta nie, rana na nodze ropyje”. Dziewczynka z ropyjącą raną musiała opuścić szereg i udać się do baraku, gdzie zajęła się nią stara niewolnica, podczas gdy jej towarzyszki rozpraszwały się po zalanym bezlitosnym słońcem placu w poszukiwaniu kąta, w którym mogłyby spokojnie zjeść.

– Następna – zakomenderował doktor Vásquez. Nie krył obrzydzenia; przywoływał niewolnice zmęczonym ruchem dłoni, nie podnosząc wzroku na długą kolejkę dziewcząt, które zachłannie wyjadały palcami kaszę z dorszem.

Kaweka pchnęła do przodu swoją podopieczną. Miska pochyliła się w dłoniach małej; nietknięta zawartość w każdej chwili mogła wypaść na ziemię. Zarówno lekarz, jak i Florencio zmarszczyli brwi na widok dziewczynki.

– Nostalgia? – zapytał handlarz.

Vásquez nie odpowiedział, dopóki nie skończył oględzin. Dziewczynka nie tylko była wymizerowana, miała też obłożony język, szklisty wzrok i opuchliznę na niektórych częściach ciała.

– One wszystkie cierpią na melancholię – odparł wreszcie. – Zresztą kto na nią nie cierpi? – dodał w zamyśleniu, zastanawiając się, czy to słabowite, smutne dziecko nie powinno zostać poddane leczeniu.

Miał wątpliwości. Wielu *bozales* cierpiało na to, co na Kubie nazywano nałogiem jedzenia ziemi, a było wyniszczeniem organizmu z powodu niedożywienia i ciężkiej pracy połączonym z nostalgią po wywiezieniu z Afryki i rozłące z bliskimi. Ale przecież nie mogli wysyłać każdego z nich do lecznicy. Brakowało odpowiedniej infrastruktury, a przede wszystkim personelu; była tylko stara pielęgniarka i dwóch zmuszonych do pomocy nadzorców. Poza tym leczenie nostalgii wiązało się z dodatkowymi wydatkami – na mięso, wino, likiery, cukier... Vásquez poczuł na sobie ponaglające spojrzenie Florencia. Przebiegł wzrokiem po dziedzińcu. Chaos. Killkaset niewolnic, wystające z tłumu głowy krążących między dziewczętami nadzorców. Przed nim była jeszcze długa kolejka. Będzie potrzebował miejsca w lecznicy. Ponownie obejrzał opuchliznę na ciele dziewczynki i zawyrokował:

– Zdrowa.

Florencio wydał z siebie głośnie westchnienie.

W tym momencie rozległ się trzask batów. Część niewolnic przerwała jedzenie i podniosła wzrok: pierwszy raz, odkąd trafiły w to miejsce, coś wzbudziło ich zainteresowanie.

Z jednego z baraków wyszło kilku nadzorców, a za nimi

mężczyźni w kajdanach na rękach i nogach, którzy z trudem powlekli się w stronę stołu z jedzeniem. Czekające w kolejce niewolnice zostały pospiesznie rozpędzone.

Florencio Ribas przyłożył dłoń do wiszącego przy pasie pistoletu i podniósł wzrok na dachy baraków, gdzie czterech ludzi pełniło wartę z przygotowanymi do strzału karabinami.

Ponad pięćdziesięciu mężczyzn – niektórzy bez koszuli, ze szramami przecinającymi im plecy – ze wzrokiem wbitym w rozproszone po placu dziewczęta pokonało odcinek dzielący barak od stołu.

– Nie patrzcie na nie! Nie chcę słyszeć ani słowa! – krzyknął do nich nadzorca.

Lubieżność przebiegała nawet ze sposobu, w jaki się poruszali. Rozkazowi towarzyszyło smagnięcie batem. Rozciął łydkę jednego z mężczyzn i po jego nodze spłynęła krew. Chociaż wykonali polecenie, oprawcy nie przestali ich chłostać. Po dziedzincu niósł się trzask batów; skuci łańcuchem niewolnicy kulili się, żeby uniknąć kary.

– Zgromadził pan za dużo maronów – zauważył doktor Vásquez, mając na myśli zbiegłych niewolników.

– Wiem – przyznał Florencio. – Zamierzałem przekazać ich władzom, ale nowa dostawa pokrzyżowała mi plany. Nie mogłem ryzykować, że zabraknie mi ludzi do eskorty.

Lekarz nawet na niego nie spojrział. Przekazać ich władzom? – pomyślał, nie kryjąc sarkastycznego uśmiechu. Nagroda za zwrócenie zbiega prawowitemu właścicielowi była niczym w porównaniu z tym, co mógł zarobić, sprzedając go cukrokracie, któremu umarł któryś z niewolników. A umierało wielu. Za przyzwoleniem księdza właściciele grzebali ich bez odnotowywania zgonu, a papiery zmarłego przechodziły na marona kupionego od Ribasa czy od innych *rancheadores* – łowców zbiegłych niewolników. O ile rzeczywiście był maronem, a nie niewolnikiem uprowadzonym z jakiejś plantacji.

Dopóki nie udało mu się sprzedać zbiegów, Florencio wynajmował ich do pracy. Jego chlebodawcy – ci, którzy inwestowali w przemysł – domagali się zysków. Tego rodzaju praktyki były częstsze w miastach, ale zdarzały się również na wsi: niektóre cukrownie wynajmowały niewolników na czas zafry – żniw trzciny cukrowej. Vásquez nieraz leczył na plantacjach tych, których wcześniej widział w San Nicolás. Ten sam los czekał dziewczynki, których nie uda się sprzedać. Najpierw jednak trzeba było je dokarmić, żeby przybrały na wadze i odzyskały siły, wyleczyć chore i ranne i zaszczepić wszystkie przeciwko ospie. Był to bezwzględny wymóg stawiany handlarzom, a każdy, nawet najbardziej niedoświadczony nabywca, mógł z łatwością sprawdzić, czy został on spełniony, dzięki charakterystycznej bliźnie, która zostawała na ramieniu. Zaszczepione niewolnice trafiały na rynek „z uciekającą duszą i kośćmi w worku”, co oznaczało, że nabywcy kupowali towar sprowadzany z Afryki na własne ryzyko, a handlarze nie odpowiadali za ukryte wady i przypadłości niewolników.

Natomiast większość wolnych mieszkańców wyspy nie była szczepiona. Vásquez przypominał sobie, co powtarzali właściciele ziemscy: „Kiedy umiera niewolnik, odpływa kapitał”. Wodząc wzrokiem po setkach dziewcząt stłoczonych na dziedzińcu cukrowni San Nicolás, pomyślał, że zebrano tu spory majątek. Potem zniechęconym gestem wskazał Kawece i jej małej towarzyszce, żeby przeszły dalej.

OD PRZYBYCIA NA WYSPĘ MINĄŁ prawie tydzień. Kaweka zdążyła już poznać imię dziewczynki: Awala. Kołysała ją w ramionach, kiedy po trzech dniach mała nagle się ocknęła i wybuchnęła płaczem, który dotąd tłumila z powodu szoku, wycieńczenia i bólu. Należała do plemienia Aszanti, które podobnie jak plemię Kaweki posługiwało się językiem z rodziny kwa. Ich losy były niemal identyczne.

Niespodziewany atak. Krzyki. Wystrzały. Ucieczka. A potem niewola. Żadna z nich nie wiedziała, co spotkało ich rodziny. Kaweka ostatni raz widziała matkę, kiedy leżąc zwinięta na ziemi, osłaniała własnym ciałem jej najmłodszego braciszka. Potem były trupy, chaos i strach. A teraz zostały jej już tylko pustka i ból rozłąki.

Młode niewolnice czekały na posiłek, gdy na dziedzińcu pojawiło się trzech mężczyzn na koniach – dwóch uzbrojonych w karabiny – oraz idący pieszo niewolnik.

Nie była to pierwsza wizyta, jaką im składano. Do cukrowni przyjeżdżali biali mężczyźni, przechadzali się między niewolnicami, komentowali ich wygląd i prosili, żeby pokazano im tę czy tamtą, po czym dokładnie je oglądali. Żadnej nie zabrali – na razie. Dziewczęta szeptały między sobą, że porywacze jeszcze ich nie sprzedadzą; chcą je najpierw odkarmić, żeby dostać za nie lepszą cenę. Wszystkie wiedziały, co je czeka: praca na plantacji albo służba w domu bogaczy. Znały to już z Afryki. Część z nich była pogodzona z losem, inne myślały o ucieczce. „Dokąd byście poszły?” Kaweka przysłuchiwała się tym rozmowom. Były tylko młodymi dziewczętami, które wywieziono daleko od rodzinnych stron, za morze, na ziemię białych, więzionymi i pilnowanymi przez brutalnych, odrzucających mężczyzn, i marzyły o powrocie do domu. Żadna jednak nie odważyła się uciec. Kaweka również.

Zrezygnowane czy zbuntowane – wszystkie płakały, świadome swojego losu. Nie były w stanie nawzajem się pocieszyć. W nocy, kiedy cukrownia pogrążała się w ciszy i mroku, a one traciły z oczu swoje towarzyski, przyjaciółki, z którymi połączyła je niedola, śniły koszmary, jęcząc, drżąc i zawodząc z rozpacz.

Kaweka już wiedziała, co to strach i niepokój, chociaż miała szczęśliwe dzieciństwo. Dziadek był szamanem i mieszkańcy wioski darzyli go szacunkiem, podobnie jak jej matkę. Kaweka i jej rodzeństwo pomagali w gospodarstwie, bawili się i śmiali, jak prawie wszystkie dzieci w wiosce. Jeszcze nie tak dawno była kochana.

Kiedy zamykała oczy i rozdrapywała pamięć zmysłów, nadal czuła pieśczęty matki i całusy młodszych braci i sióstr. Ale wszystko to nagle znikło. Stała się anonimową, bezosobową częścią kontyngentu kilkuset zrozpaczonych dziewcząt, które зараżały się paniką, potęgując poczucie niedoli płaczem i skargami.

Na widok jeźdźców od razu zrozumiała, że to nie są kolejni goście, którzy przyjechali obejrzeć towar. Nadzorcy snujący się po dziedzińcu z szacunkiem pozdziejowali kapelusze i usłużnie podbiegli do nowo przybyłych, a jeden popędził zawiadomić Florencia, który obliczając w myślach przyszłe zyski, zasnął w chłodnym baraku.

– Szefie... – Wielki, silny, nieokrzesany mężczyzna wychylił głowę zza drzwi, nie mając odwagi wejść do baraku, w którym odpoczywał Florencio. – Szefie! – krzyknął, zmuszony podnieść głos.

– Co się dzieje?! Dlaczego mi przeszkadzasz? Przecież mówiłem...

– Ma pan gości, szefie – przerwał mu nadzorca.

– Niech zaczeka! – rozkazał Florencio.

Czekał jednak strażnik; zaglądał do baraku i nie odpowiadał.

– Kto to taki? – zapytał w końcu szef.

– Niech pan lepiej wyjdzie.

Florencio podszedł do drzwi, złorzecząc pod nosem. Kiedy stanął w progu, momentalnie zamilkł: na wspaniałym koniu o kasztanowej sierści błyszczącej w słońcu siedział markiz, don Juan José de Santadoma. Arystokrata zjawił się w cukrowni pierwszy raz. Nie wyglądało na to, żeby przyjechał z wizytą towarzyską: był ubrany w prostą białą koszulę bez ozdób, spodnie jeździeckie i wysokie skórzane buty z wielkimi ostrogami. Przed słońcem chronił go kapelusz o szerokim rondzie. Za nim stali jego ludzie.

Kaweka dostrzegła z daleka strach malujący się w oczach Florencia. Podszedł do gościa i odchrząknął.

– Witam, panie markizie. Cóż pana do nas sprowadza?

– zapytał.

– Nic dobrego, Ribas – odparł don Juan José donośnym głosem.

Żadna z siedmiuset dziewcząt nie rozumiała ich słów, Kaweka zauważyła jednak, że Florencio spuścił oczy.

Markiz wbijał w niego spojrzenie. Santadomowie byli właścicielami jednego z największych majątków na wyspie; mieli kilka cukrowni, kopalnie miedzi i udziały w innych interesach. Arystokrata budził respekt. Biły od niego władza, szlachetne urodzenie i elegancja.

– Może wejdziemy do środka – zaproponował Florencio, podnosząc wzrok. – Jestem pewien, że uda nam się rozwiązać problem, który...

– Nie – przerwał mu markiz. Nadal w milczeniu wpatrywał się w handlarza stojącego kilka kroków od jego konia.

Florencio skrzywił usta i zamachał rękami, jakby domagał się wyjaśnienia, o które nie śmiał poprosić. Czekał, aż markiz sam wyjawí powód swej wizyty.

– Twoi ludzie ukradli mi niewolnika.

Herszt handlarzy niewolnikami zamierzał mu odpowiedzieć, ale arystokrata nie dopuścił go do głosu.

– Mam dosyć waszych polowań – rzucił.

Florencio pouczył swoich ludzi, że nie chce żadnych problemów z Santadomami ani z innymi możnymi. Wiedział, że jego bandziory kradną niewolników, którzy oddalili się od plantacji; za to im płać i na tym zarabiał. Ale wystarczył jeden rozkaz markiza, żeby doprowadzić go do ruiny – Florencio podejrzewał, że don Juan José de Santadoma należy do grupy inwestorów, którzy finansują jego zakupy. To, że osobiście zjawił się w cukrowni, zamiast wysłać swojego administratora czy zarządcę, nie wróżyło niczego dobrego.

– Nie... to niemożliwe – próbował się tłumaczyć.

– A jednak! – Markiz natarł na niego koniem.

Florencio zaczął się cofać.

– Nie – obstawał przy swoim. Potknął się i omal nie upadł przy kopytach zwierzęcia. – Niech pan sam sprawdzi.

– Właśnie po to przyjechałem. I jeżeli znajdę tu swojego niewolnika...

– Nawet gdyby rzeczywiście tak się stało, na pewno zaszła pomyłka. – Florenciowi udało się stanąć przy boku konia.

Don Juan José de Santadoma zawrócił wierzchowca w stronę baraków dla niewolników. Florencio pobiegł za nim, piorunując spojrzeniem swoich ludzi, którzy udawali, że o niczym nie wiedzą.

– Gdyby jednak zaszła taka pomyłka, z chęcią ją panu wynagrodzę! – zawołał. – Mam tu nową partię niewolnic, mógłby pan sobie którąś wybrać... Proszę je obejrzeć – zaproponował zdyszany.

Markiz przebiegł wzrokiem po wystraszonych niewolnicach, które otaczały ich kręgiem.

– Gdzie są maroni? – zapytał.

Na znak Florencia jeden z nadzorców uderzył w dzwon. Po chwili otworzyły się drzwi baraku i ze środka zaczęli wychodzić niewolnicy.

– Rzędami. Przede mną – rozkazał markiz handlarzowi.

Podczas gdy nadzorcy ustawiali niewolników, ociekający potem Florencio dalej się usprawiedliwiał:

– To może być wyłącznie pomyłka... Jakże śmiałym ukraść niewolnika Santadomom? Zabiłbym tego, który by to zrobił. Gdyby jednak rzeczywiście do tego doszło... wówczas... na pewno to panu wynagrodzę.

Markiz nawet na niego nie spojrzał. Kiedy maroni stali już przed nim w szeregu, zwrócił się do towarzyszącego mu niewolnika:

– Domingo, sprawdź.

Niewolnik nie wahał się ani chwili. Podeszedł do drugiego rzędu

i wskazał jednego z Mulatów. Na znak swojego pana odprowadził go na bok.

Don Juan José de Santadoma skierował wzrok na Florencia.

Ten przerwał w połowie zdania i stał z otwartymi ustami.

– Ja... – wybełkotał w końcu. – Tutaj ma pan moje niewolnice! Proszę sobie wybrać tę, która się panu najbardziej spodoba.

Markiz bez słowa przejechał między dziewczętami, które odsuwały się, wpadając jedna na drugą. Kilkaset wystraszonych niewolnic o czekoladowej skórze uciekało przed markizem. Ale nie Awala. Stała nieruchomo, zafascynowana ruchami konia, oślepiona blaskiem kasztanowej sierści. Kiedy arystokrata podjechał bliżej, wycofujące się dziewczęta przewróciły ją. Kaweka podbiegła do Awali i stanęła przed nią niczym mur, by ochronić ją przed zadenuncjowaniem. Wreszcie zostały same u stóp konia.

Kaweka bez wahania osłoniła dziewczynkę. Markiz musiał się zatrzymać, żeby jej nie stracić. Ich spojrzenia się spotkały. Kaweka nie odwróciła wzroku.

– Ta. – Wskazał ją idącemu za nim niewolnikowi. – Naucz ją dobrych manier.

Kaweka nie rozumiała słów, ale wyłapała bijącą z nich niechęć. Zanim zdążyła się odsunąć, Domingo wyszedł przed swojego pana, chwycił ją za rękę i dwukrotnie spoliczkował.

– Nie patrzy się na białych! – wydarł się, mocno nią potrząsając.

Wciąż nie rozumiała, o co mu chodzi. Zaczęła wierzgać nogami, kiedy niewolnik złapał ją pod pachy i podniósł.

– Ribas! – krzyknął markiz, żeby usłyszeli go wszyscy na dziedzińcu. – Następnym razem to ty będziesz szedł przywiązany do konia któregoś z moich ludzi.

Nie czekając na odpowiedź, zawrócił kasztanka, zmuszając Florencia do zejścia mu z drogi. Kiedy go minął, ściągnął wodze. Narowisty koń gwałtownie wierzgnął, wyrzucając do tyłu tylne nogi,

i omal nie urwał handlarzowi głowy. Markiz nawet nie spojrzał za siebie; lekko się uśmiechnął, podczas gdy towarzyszący mu uzbrojeni mężczyźni wybuchnęli głośnym rechotem. Prowadzili za sobą odzyskanego niewolnika, przywiązanego sznurem do siodła konia, a Domingo ciągnął za rękę Kawekę, która warczała jak zwierzę i wyrwała się z głową odwróconą w stronę Awali klęczącej na ziemi i zanoszącej błagania do nieba.

ŁAGODNIEJSZY TON MARKIZA UPRIZYTOMNIŁ Kawecę, że są już blisko.

– Mordaz, śliczniusi, co ty tu robisz? – zwrócił się do psa, który wybiegł im na spotkanie i teraz płątał się pod nogami wierzchowca. – Grapo, przystojniaku – powiedział arystokrata do drugiego zwierzaka, który nadbiegł chwilę później. – Uważaj, żebym cię nie stratował.

Pieszczotliwe słowa brzmiały groteskowo w ustach człowieka, który traktował swoich ludzi tak oschle i władczo.

– Biegnijcie pilnować czarnuchów – dodał tym samym czułym tonem.

Kiedy mijali plantację trzciny cukrowej, Kaweka usłyszała monotony śpiew niewolników. Dobiegał do jej uszu coraz wyraźniej, aż wreszcie mogła rozróżnić poszczególne głosy. Po chwili dołączyły do niego trzaski batów, krzyki wydających rozkazy nadzorców i regularny świst maczet ścinających trzcinę. To była długa droga. Niewolnik odzyskany z cukrowni Florencia kilkakrotnie upadał, nie mogąc nadążyć za ciągnącym go koniem. Kiedy biedak z wysiłkiem podnosił się z ziemi, coraz bardziej pokiereszowany, jeźdźcy pozwalali, żeby dogonili ich Kaweka i Domingo. Przypominało to jakąś makabryczną zabawę.

Za pierwszym razem spojrzała pytająco na markiza, za co obserwowała od strażnika.

– Spuść wzrok! – rozkazał Domingo. Uderzył ją i siłą zmusił do

opuszczenia głowy. – Nie patrzy się na białych!

Nie zrozumiała, co do niej mówi, ale kiedy wleczony niewolnik znowu się potknął, Kaweka, żeby uniknąć kary, wbiła wzrok w wyschniętą ziemię, zanim zdążyła do końca podnieść go na markiza.

Podporządkowanie białym panom, istotom wyższym, stało się jeszcze bardziej oczywiste, kiedy dotarli do granicy plantacji. Kwadratowe pole, wzdłuż którego szli wcześniej, było poznaczone szerokimi przecinkami obsadzonymi rzędami wysokich bananowców. Pojawienie się markiza uciszyło śpiewy, krzyki i świsty batów.

Kaweka próbowała zrozumieć to, co widzi. Setki mężczyzn i kobiet – Murzynów i Mulatów ścinających maczetami trzcinę i zrzucających ją na dwukołowe wozy zaprzężone w woły – biali uzbrojeni strażnicy, psy, dzieci, starcy... Wszyscy momentalnie przerwali pracę. Znieruchomieli także Kaweka i Domingo. W powietrzu zawisła ciężka cisza, przzerwana przez niewolników, którzy zaczęli klękać tam, gdzie stali, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Błogosławieństwo, panie! – poprosił jeden z nich.

– Tak, pobłogosław nas. – Z ust niewolników zaczęły płynąć błagania.

– Prosimy, panie.

Domingo przykląkł na ziemi i pociągnął za sobą Kawekę. Patrzyła kątem oka, jak markiz wyciąga prawą rękę i przesuwając dłoń nad głowami niewolników.

– Błogosławie was – odezwał się donośnym, władczym głosem.

– Niech Bóg będzie z wami i da wam pokój.

– Dziękuję wam, panie.

– Bądźcie błogosławieni, wasza wielmożność.

– Niech pan markiz żyje nam długo!

Z dziesiątek gardeł wydobywały się podziękowania, Kaweka dostrzegła jednak, że wielu niewolników zaciska zęby.

– Błogosławiony! – wykrzyknął niespodziewanie Domingo, napędzając jej strachu.

Nadal padały słowa poważania, kiedy markiz zawołał:

– Do roboty!

– Wszyscy! – dodał zarządca.

– Koniec odpoczynku! – krzyknął jakiś inny biały.

Niewolnicy wstali.

– Niech śpiewają, panie Narváez – zwrócił się markiz do zarządcy. – Kiedy śpiewają, nie myślą – przypomniał mu, jak to robił podczas każdej wizyty na plantacji.

No dalej, proszę dokończyć swoją pogadankę, pomyślał zarządca, zanim markiz dodał:

– A kiedy myślą, nie pracują, panie Narváez. Kiedy myślą, nie pracują!

– Śpiewajcie, czarnuchy! – powtarzali rozkaz nadzorcy i strażnicy, nieraz przy akompaniamencie bata.

Wróciły gwar, uderzenia maczet i szum przerzucanej trzciny. Ktoś zaintonował ponurą pieśń. Tylko jeden głos. Kaweka zadrżała, chociaż nie rozumiała słów. Solista uskarżał się na niedostatek jedzenia i ciężką pracę. Markiz zmarszczył czoło i galopem opuścił plantację. Za jego plecami stopniowo cichły głosy narzekających na swój los setek niewolników, którzy dołączyli do solisty.

Zanim śpiew przybrał na sile, Domingo zaciągnął Kawekę do wozu.

– Antonio! – przywołał niewolnicę dźwigającą naręcz trzciny. – Ta mała nie zna hiszpańskiego. To lukumi, tak przynajmniej twierdzi Ribas. Wyjaśnij jej, co ma robić.

Kobieta wrzuciła trzinę na wóz, po czym zwróciła się do Kaweki:

– Jesteś z ludu Joruba?

Głos starszej kobiety przemawiającej w jej języku przeniósł dziewczynkę do rodzinnej wioski. W jej pamięci przewinęły się bolesne wspomnienia: Daye, której zwłoki stały się pokarmem dla rekinów, matki, która zasłaniała sobą jej młodszego braciszka,

krewnych, zabaw, śmiechów... Antonia musiała nią potrząsnąć.

– Tutaj nie marnuje się czasu – zganiła ją surowym tonem. – Jesteś z ludu Joruba?

– Tak – odparła Kaweka słabym głosem, wykończona długim marszem.

– Kolejna. – Kobieta westchnęła. – Na tej wyspie Jorubów nazywa się lukumi, zapamiętaj to sobie.

Kaweka skinęła głową.

– Ustawisz się w jednym z rzędów i zaczekasz na swoją kolej, a potem weźmiesz trzcinę i przyniesiesz ją tutaj – nakazała jej Antonia. – Trzeba też zebrać czubki i załadować je na właściwe wozy. – Ruszyła w stronę niewolników ścinających trzcinę kilka kroków dalej. – Jeżeli się zagapisz albo będziesz za wolna, zostaniesz ukarana. Wieczorem każdy, poza ciężarnymi, musi zabrać ze sobą do cukrowni duże narzędzie trzciny.

Skończyła mówić i przyłączyła się do śpiewu roznoszącego się po polu.

– Śpiewaj – rozkazała, kiedy stanęły w jednej z kolejek.

– Nie znam... – zaczęła się tłumaczyć Kaweka.

– Śpiewaj!

Dziewczynka przez moment się wahała, po czym zaczęła nucić monotonną melodię. Ktoś intonował pieśń, a inni mu odpowiadali. Jej uwagę zwróciło to, że trzcinę ścinają zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Maczety uderzały w łodygi na skos przy samej ziemi – jednym mocnym, precyzyjnym ciosem. Tak zagapiła się na ścinaczy, że nie zauważyła, kiedy kolejka posunęła się naprzód. Pracowali trójkami, jak maszyny.

– Śpiewaj – upomniała ją Antonia.

Kaweka zapomniała o śpiewaniu.

Silny mężczyzna o nagim, błyszczącym od potu torsie podnosił poziomo trzcinę, a stojący po jego bokach towarzysze odcinali maczetami miękkie czubki i oczyszczali łodygi z liści. Te najdłuższe

rąbali na dwa lub trzy kawałki. Zrzucali je na stosy – osobno łądygi, osobno czubki. Tę samą operację powtarzały wszystkie zespoły ścinaczy, które posuwały się wzdłuż pola. Wyładowane wozy odjeżdżały, a na ich miejsce podstawiano puste. Żeby koła nie ryły zbyt mocno ziemi uprawnej, każdy wracał inną trasą do drogi prowadzącej do cukrowni. Niedołężni starcy i dzieci w wieku od pięciu do ośmiu lat zbierali łądygi, które spadały z wozów.

– Rusz się – rzucił po hiszpańsku mężczyzna stojący za Kaweką. Już nie było przed nią Antonii.

Zareagowała dopiero na pchnięcie towarzyszące rozkazowi niewolnika. Podeszła do stosu i wzięła kilka łądyg, jak robili to inni, po czym położyła je sobie na ramieniu i ruszyła w stronę pustego wozu, który właśnie podjechał. Nieznacznie zboczyła przy tym z trasy, którą podążali idący przed nią tragarze, i nadepnęła na wystający z ziemi ścierni świeżo ściętej trzciny. Antonia zapomniała ją ostrzec. Kaweka zawyla z bólu, kiedy kawałek łądygi niczym ostry nóż wbił się w podeszwę jej prawej nogi. Upadła, rozrzucając trzcinę. Kiedy leżała na polu, trzymając się za stopę, jeden ze strażników podszedł do niej i trzasnął batem tuż przy jej ciele.

– Wstawaj!

Nie była w stanie się podnieść. Stopa obficie krwawiła. Ściągnięta twarz dziewczynki wyrażała ból; Kaweka zaciskała zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Niewolnicy nadal śpiewali. Ci, którzy mijali ją z łądygami trzciny na ramieniu, starali się na nią nie patrzeć.

Kolejne smagnięcie batem.

– Co się dzieje? – zainteresował się zarządca.

– Ta tutaj... – odparł pogardliwie strażnik i wskazał Kawekę batem.

– Jest nowa – wyjaśnił Narváez i pokręcił głową na widok krwi wypływającej pomiędzy palców dziewczynki. – Markiz wybrał ją osobiście. A niech to! Jeszcze nam się uszkodzi pierwszego dnia i

pan będzie niezadowolony. Zabierzcie ją do lecznicy.

ANTONIA ODPROWADZIŁA JĄ DO cukrowni. Podtrzymywana przez nią Kaweka czuła ukłucie bólu przy każdym kroku. Wozy je wyprzedzały. Narváez nie pozwolił jej wsiąść na jeden z nich, żeby nie zabierała miejsca przeznaczonego na trzcinę.

Nie zorientowała się, jak wielka jest posiadłość La Merced, położona w Dolinie Magdaleny w prowincji Matanzas, na żyznych terenach ciągnących się aż do morza, gdzie skupiły się majątki kubańskich magnatów cukrowych. Była osłabiona i oszołomiona; stopa nadal krwawiła i bolała. Wysłali ją prosto do lecznicy mieszczącej się na końcu jednego z budynków. Były to dwa pomieszczenia wypełnione chorymi i kalekami – w jednym leżeli mężczyźni, w drugim kobiety – sala operacyjna i separatka dla zakaźnie chorych.

Przyjął ją domorosły medyk, który nauczył się fachu, asystując przez pięć lat lekarzowi z prawdziwego zdarzenia. Cirilo był białym mężczyzną w średnim wieku, bez dyplomu, a do tego analfabetą, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo leczył wyłącznie niewolników. Antonia służyła za tłumaczkę. Zabrał Kawekę do sali operacyjnej, oczyścił ranę wyciągiem z arniki, po czym zrobił okład z żywicy, terpentyny i oleju laurowego przyspieszającego gojenie.

Dziewczynka w milczeniu znosiła ból. Wbijiała wzrok w belki na suficie, wsłuchana w dobiegające zza ścian jęki i zawodzenie. Jest silna, pomyślał Cirilo, grzebiąc w ranie.

Odkąd markiz wskazał ją palcem w faktorii Florencia, Kaweka nie miała nawet okazji zastanowić się nad swoim losem. Wszystko działo się tak szybko, było niezrozumiałe, nowe, przytłaczające, brutalne... Prawdziwa lawina wydarzeń. Mimo ostrego bólu, jaki zadawały jej niezdarne i nieostrożne dłonie Cirila, znalazła pociechę w dziecięcym optymizmie. Może nie zawsze tak będzie, tłumaczyła sobie, próbując podnieść się na duchu. Podobnie jak

inne dziewczęta, podczas podróży statkiem czuła, jak słabnie więź łącząca ją z jej korzeniami. Zerwała ją ostatecznie śmierć Daye. Każda kolejna fala, z którą mierzył się kliper, oddalała Kawekę od bliskich. Wyglądało na to, że po krótkim pobycie w faktorii Florencia jej podróż wreszcie dobiegła końca. Odruchowo spojrzała na Antonię. Liczyła na jakiś gest sympatii z jej strony – przecież należały do tego samego ludu. Wystarczyłoby, gdyby ta kobieta się do niej uśmiechnęła, wzięła ją za rękę albo czule pogłaskała; Kawekę zadowoliłby nawet ciepły oddech wyszeptanych na ucho słów pocieszenia.

Antonia jednak nie zwracała na nią uwagi – oglądała słoiczki z lekami. Kaweka chciała przyciągnąć jej uwagę, ale wtedy Cirilo – być może poirytowany siłą świeżo przybyłej z Afryki dziewczynki – przycisnął ranę tak mocno, że Kaweka aż zawyla z bólu.

– Nie mam wolnych pryczy w sali dla kobiet – powiedział, kiedy skończył bandażować jej stopę. – Na każdej leżą dwie, czasami nawet trzy chore. W tym roku zafra jest wyjątkowo ciężka – dodał gwoli wyjaśnienia, na co Antonia tylko wzruszyła ramionami. – Dziewczyna jest młoda, zresztą taka rana nie wymaga leżenia w łóżku. Niech przez kilka dni zostanie w *criollo*, pomoże Mamie Ambrosii.

Kiedy opuściły lecznicę, Antonia przekazała Kawece decyzję medyka i wyjaśniła, że *criollo* to miejsce, gdzie przebywają dzieci urodzone przez niewolnice pracujące na plantacji.

Było w nim prawie dwadzieścioro maluchów, które nie skończyły jeszcze piątego roku życia, starsze dzieci wysyłano bowiem do pracy. Niemowlęta leżały w słomie na drewnianej podłodze pod dachem, reszta dzieciarni raczkowała albo biegła nago po ogrodzonym dziedzińcu. Towarzyszyły im dwie matki, które nie przeszły jeszcze kwarantanny po porodzie.

– Co to za pomoc? – poskarżyła się Mama Ambrosia, lustrując Kawekę wzrokiem. – Te nowo przybyłe *bozales* niczego nie

potrafią, do tego ta jest ranna. Tylko przysporzy mi dodatkowej pracy!

Antonia wzruszyła ramionami.

– Dasz mi trochę ryżu? – zapytała, wskazując brodą spizarnię, gdzie trzymano jedzenie dla matek i dzieci.

Criollera – staruszka, która sądząc po obwisłej skórze, za młodu musiała być dorodną kobietą – przez chwilę rozważała tę prośbę.

– Miseczka ryżu w zamian za odpchnienie dzieciaków – zadecydowała w końcu.

Antonia skinęła głową, a kiedy ruszyła w stronę dziedzińca, Mama Ambrosia zapytała:

– Skąd jest ta nowa?

– Lukumi – odparła Antonia, nie odwracając głowy.

– Tak też myślałam – szepnęła *criollera* i pierwszy raz odsłoniła w uśmiechu niepełne uzębienie. – Mnie też stamtąd przywieźli – zwróciła się do Kaweki w języku joruba. – Tak jak i ją – dodała, wskazując Antonię, która złapała już jakąś dziewczynkę i oglądała jej stopy w poszukiwaniu uciążliwych pasożytów.

Pchły piaskowe dostawały się pod skórę i składały tam jaja, z których wykluwały się larwy.

Kaweka domyśliła się, że Mama Ambrosia cofnęła się w czasie z jej powodu. Oczy starszej kobiety na moment rozbłysły, ale zaraz pokręciła głową, odpędzając miłe wspomnienia, dla których w cukrowni markiza nie było miejsca, i wróciła do rzeczywistości.

– Okrutne – powiedziała sama do siebie. – Chodź, dziecko. – Delikatnie złapała Kawekę za ramię. – Usiądź tu sobie z maluchami i odpocznij. Potem porządnie cię nakarmię.

Dziewczynka była jej bardziej wdzięczna za ten serdeczny odruch niż za herbatnika, którego dostała chwilę później. Mama Ambrosia zachęciła ją, żeby go spróbowała. Kaweka gryzła słodkie ciastko, przyglądając się dzieciom, przy akompaniamencie symfonii płaczu niemowlaków, którymi nikt się nie przejmował.

– Te maleństwa czekają, aż ich matki wrócą z pola i nakarmią je piersią – oznajmiła *criollera*. – Zaraz powinny tu być. Starsze dzieci, te, którym Antonia czyści stopy...

Przerwała w pół zdania. Kaweka wpatrywała się w noworodka leżącego na słomie z dala od innych dzieci; prawie się nie ruszał i cicho popłakiwał. Mama Ambrosia cmoknęła i przykucnęła obok niej.

– To Jacinto, syn Maríi de la Luz. Ma tęzec. Hiszpanie nazywają to chorobą siedmiodniową. Umrze. Po prostu czekamy... Noworodki często na to umierają. Jeżeli przeżyją pierwsze siedem dni, mają szansę na wyzdrowienie...

Kaweka przestała słuchać Mamy Ambrosii. Wielokrotnie widywała noworodki w takim stanie. Mieszkańcy jej rodzinnej wioski przynosili je do ich chaty. Nie wiedziała, czy chorowały na to, o czym mówiła *criollera*. Matka poila je wywarami z ziół i innych roślin, po czym prosiła bóstwa o ich uzdrowienie. Po zakończeniu rytuału pozwalała Kawece kołysać maleństwa do snu. „Olodumare, władca nieba, decyduje o życiu i o śmierci”, wyjaśnił jej dziadek. „A co stanie się z tymi dziećmi, jeżeli nie przeżyją?”, zapytała. „Ich duchy będą błąkały się między obydwoma światami – odparł. – Będziemy musieli czcić je jak bóstwa, żeby ich nie rozzłościć i żeby nam pomagały”.

Wspominając słowa dziadka, podeszła na czworakach do Jacinta. W odróżnieniu od noworodków, przy których były matki, miał zainfekowany kikut pępownowy. Kaweka dotknęła rany: była opuchnięta, choć posmarowano ją czymś tłustym.

– Tak, to z tego powodu umierają – usłyszała za plecami głos Mamy Ambrosii. – Leczymy je pajęczyną i zaciskamy im pępowiny... – *criollera* nie wiedziała, jak jest „knot” w języku joruba – tym sznurkiem, który jest w świecach. Ale wiele z tych dzieci nie przeżywa, bardzo wiele.

Kaweka nie zapytała jej o pozwolenie: podniosła niemowlaka,

podwinęła swoją tunikę, przycisnęła go sobie do brzucha i zaczęła kołysać, jak nauczyła ją matka, chociaż nie dopełniła żadnego z rytuałów, które odprawiali ona i dziadek. Kiwała się w przód i w tył, nucąc melodię, która rozbrzmiała w jej głowie tak wyraźnie, jakby dziewczynka była wśród swoich w Afryce.

– Już od paru dni nie ssie piersi – powiedziała *criollera*. Kucnęła przy Kawece i pogłaskała ją po włosach. – Ma zeszywniałą szczękę. Sama widzisz, że nawet nie otwiera ust. Pozostaje nam tylko czekać...

Dziewczynka dalej się kiwała, nie zwracając uwagi na słowa kobiety, zabawy dzieci i hałas dobiegający z cukrowni. Nie było jej tu – znajdowała się bardzo daleko: w swojej wiosce, z matką, z dziadkiem... i z Daye.

Mama Ambrosia patrzyła na nią zdumiona. Wygląda tak, jakby... Nie, to niemożliwe, odrzuciła swoje domysły. Jest jeszcze za młoda. Zostawiła ją samą i wróciła do swoich obowiązków. Zbliżała się pora posiłku. Antonia, która odpchliła już dzieci i przemyślała im rany terpentyną, czekała na swoją zapłatę. *Criollera* zauważyła, że zerka na Kawekę, która kołysała się w kącie w niepokojącym magicznym transie... Szybko dała Antonii obiecany ryż i zajęła się pracą, nie spuszczała jednak oka z dziewczynki. Umyła dzieci, przygotowała strawę, nakarmiła je i napoiła.

Wreszcie wróciły matki, które kończyły pracę nieco wcześniej niż inni niewolnicy, i przystawiły niemowlęta do piersi. Kiedy María de la Luz zorientowała się, że dzieckiem, które kołysze dziewczynka z zabandażowaną stopą, jest jej synek, spojrzała pytająco na Mamę Ambrosię.

– Zostaw ją – poprosiła *criollera*. – Nie robi nikomu krzywdy. To był dla niej bardzo trudny dzień. Dopiero ją przywieźli, jest smutna i zdezorientowana.

Po zmroku ruszyła produkcja. Niewolnicy pracowali na dwie zmiany; druga zaczynała się o północy. Teren cukrowni oświetlały

po pochodnie i ogniska. Trzcina musiała zostać zmielona zaraz po ścięciu, w przeciwnym razie traciła swoje właściwości i dawała gorszej jakości cukier. Bicie dzwonów wzywało niewolników do młyna, do kotłów i do oczyszczalni. Przenosili trzcinę, drewno opałowe, bagassę i sok cukrowy... Była to mordercza praca. Przymusowym śpiewom towarzyszyły krzyki nadzorców i świst batów. Niewolnicy przewracali się z wycieńczenia i niedospania. Czarna noc była dla tych nieszczęśników więzieniem.

Mimo panującej na zewnątrz wrzawy matki i dzieci spały głębokim snem. Leżały na podłodze, żeby niemowlęta nie spadały z pryczy. Czuwały tylko Mama Ambrosia i Kaweka.

Criollera bacznie przyglądała się dziewczynce, która nadal kołysała Jacinta, ale już coraz wolniej, mniej energicznie, jakby w każdej chwili miała się przewrócić. W środku nocy zaczęła się trząść. W chwiejnym blasku pochodni konwulsje Kaweki przybierały na sile. Mamę Ambrosię przebiegł dreszcz. Wydawało się jej, że dziewczynka się dusi, ale w końcu odrzuciła głowę do tyłu i wydała z siebie gardłowy ryk, zagłuszony przez dobiegające z cukrowni hałasy.

Criollera aż się przeżegnała. A potem zrobiła to jeszcze raz – gdy dziewczynka przycisnęła noworodka do piersi, a następnie podniosła go i ofiarowała ciemności. Na koniec Kaweka osunęła się na podłogę.

O ŚWICIE, KIEDY DZWONY zabiły na Anioł Pański na rozpoczęcie robót w polu, Kaweka wstała i pokazała chłopca Mamie Ambrosii. Ta wiedziała, że oboje żyją, bo uklękła przy nich, żeby to sprawdzić, kiedy dziewczynka opadła na podłogę.

– Możesz wziąć swoje dziecko – powiedziała do matki chłopczyka, która podeszła do nich zdziwiona.

Pępek nadal wyglądał na zainfekowany, ale ustąpiła sztywność szczęk i mały otwierał usta. Mógł jeść, chciał ssać pierś – domagał

się tego. Matka i *criollera* wymieniły zdumione spojrzenia. Dotąd nie przeżyło żadne dziecko w takim stanie jak Jacinto!

– Jak to...?! – wykrzyknęła María de la Luz, kiedy wreszcie wyszła ze zdumienia.

Kaweka uśmiechnęła się niewinnie. *Criollera* zacisnęła usta i zrezygnowana pokręciła głową. Ponieważ matka – mniej więcej dwudziestoletnia – mówiła po hiszpańsku, Kaweka mogła się jedynie domyślić, o co jej chodzi.

– Po co go wyleczyłaś? Jacinto miał umrzeć, rozumiesz?! Miał być wolny. Nikt by go nie wyzyskiwał – wycodziła przez zęby María de la Luz i wolną ręką uderzyła ją w pierś. – Kto ci dał takie prawo? – Jej pytaniu towarzyszyło kolejne pchnięcie.

Kaweka zrobiła kilka kroków w tył; jej szeroko otwarte oczy szukały wyjaśnienia. Nie rozumiała, dlaczego matka zachowuje się tak agresywnie. *Criollera* powstrzymała Marię de la Luz przed wymierzaniem trzeciego ciosu.

– Stałby się duchem, uwolniłby się od batów i od białych – ciągnęła łamiącym się głosem matka, z desperacją pokazując dziecko jak jakiś przedmiot. – Lepiej umrzeć, niż przeżyć tu choćby jeden dzień... Choćby jeden dzień! Mój synek zasługiwał na śmierć!

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).